

Janusz Tazbir
Warszawa

Bilans naszego wieku

Lord Byron napisał w *Don Juanie*, iż „daty to stacje, gdzie czas zmienia konie”. Jest rzeczą oczywistą, iż kalendarzowe początki i końce wieków prawie nigdy nie odpowiadają owym „zmianom koni”. Średniowiecze trwało przez dobrych kilka stuleci, nasz wiek natomiast, co „miał być lepszy od zeszytych”, „już tego dowieść nie zdąży, lata ma policzone, krok chwiejny, oddech krótki” (Wisława Szymborska). Próba jego zbilansowania wydaje się więc w pełni uzasadniona. Pragnę do nich dołączyć garść refleksji dyletanta. Stuleciem tym od strony źródłowej zajmowałem się bardzo mało. Czytując z uwagą to, co napisali na jego temat inni, niekiedy wpadam w mimowolny pesymizm. A może i ja, zajmując się XVI czy XVII stuleciem, rozumiem motywy działania i mentalność ówczesnych ludzi w równie małym stopniu, jak moi młodzi koledzy (nie wszyscy, nie wszyscy) piszący o naszym wieku?

Na datę wyjściową zgadzają się chyba wszyscy badacze; był nią niewątpliwie nie rok 1900, lecz 1914 (w ostateczności 1918). Cezurę końcową wyznacza schyłek lat osiemdziesiątych, na które przypadł rozkład imperium sowieckiego. I choć o wiele efektywniej zabrzmiałyby słowa, iż nasze stulecie zaczęło się strzałami w Sarajewie, a kończy artyleryjską kanonadą prowadzoną wokół tegoż miasta, to jednak nie wojna domowa w Jugosławii, lecz wydarzenia zachodzące aktualnie na terenie byłego ZSRR stanowią o końcu pewnej epoki. Było to, jeśli idzie o dzieje Europy, najdłuższe po państwie rzymskim imperium jednych białych ludzi budowane kosztem innych białych ludzi i na terenach ich państw. Pierwsze zresztą w dziejach świata imperium, w którym mieszkańcom pewnych „prowincji” (NRD, Czechosłowacja, Węgry, a nawet i Polska) działo się lepiej, aniżeli ludności metropolii.

Jedno jest pewne: poprzednie wieki wkraczały w przyszłość buńczucznie i z entuzjazmem opartym na świadomości już uzyskanego i mającego jeszcze nastąpić postępu. Jakże różowo wyobrażali sobie przyszłość humaniści doby renesansu, jak pięknie rysowała się ona przed szermierzami Oświecenia, w których to imieniu Piotr Świtkowski pół żartem, pół serio pisał, iż niebawem zaprzężemy wieloryby do statków i będziemy nimi poszóstnie jeździć z jednego krańca świata na drugi. Jeszcze bardziej buńczuczny okazał się schyłek XIX stulecia, w którym już wygaszono stopy inkwizycji, a jeszcze nie rozpalono ludobójczych pieców Oświęcimia.

W 1880 r. londyński „Times” pisał: „Dobiega końca nasze stulecie, które do rozwoju ludzkości przyczyniło się więcej, aniżeli łącznie poprzedzających je dziewiętnaście wieków naszej ery. Cywilizacja zachodnia z dumą, spokojem i poczuciem dobrze spełnionego obowiązku witać będzie rodzący się XX wiek”. Ten jednak w żadnym punkcie nie zrealizował optymistycznego scenariusza, jaki ułożyło dłań poprzednie stulecie. „Za duży wiatr na mo-

ją wełnę” — skarży się jeden z autorów Starego Testamentu. Ów wiatr dziejów okazał się tak silny, iż załamywał najodporniejszych. Trudno się na przykład dziwić upadkowi moralnemu Tadeusza Borowskiego, który doprowadził go do samobójczej śmierci, jeśli przypomnimy, że autor *Kamiennego świata* miał za sobą nie tylko doświadczenia łagrowe i początkowe lata stalinizmu, ale i wczesne dzieciństwo spędzone w Związku Radzieckim. Wpisana w nie została pamięć o rodzicach, których przed II wojną światową cudem tylko udało się wyciągnąć ze stalinowskich łagrów.

Można śmiało powiedzieć, że u podłoża tragedii XX w. legło prawo Malthusa w jego zmienionej, bo etycznej wersji. Poszanowanie ludzi dla norm moralnych wzrastało co prawda przez stulecia, ale w stopniu dość nieznacznym i powoli. „Ewangeliczna indoktrynacja”, prowadzona przez Kościół katolicki, okazywała się mało skuteczna. W iluż to stuleciach, z naszym włącznie, jego sfery kierownicze pisały o konieczności podjęcia na nowo akcji chrystianizacji. Natomiast ubiegłe stulecia, a jeszcze bardziej okres zamknięty klamrą lat 1914–1989, stał pod znakiem olbrzymiego rozwoju techniki. Z jednej strony pozostawała ona na usługach sztuki wojennej, z drugiej zaś służyła masowej propagandzie. W konsekwencji eksterminacji jednych ludzi towarzyszyło zniewalanie umysłów innych. W obu przypadkach miało to miejsce w skali masowej, w rozmiarach, o których w poprzednich wiekach nikomu się nawet w najczarniejszych utopiach nie śniło.

Jakże inaczej wyglądałoby powstawanie pierwszych państw we wczesnośredniowiecznej Europie, gdyby ich twórcy rozporządzali już nawet nie środkami masowego rażenia, lecz kulomiotem czy artylerią. Widać to wyraźnie na przykładzie współczesnej Afryki, której dekolonizacyjny bilans wypada m.in. i wskutek tego dość czarno. Jej podbojowi towarzyszyła wiara białego człowieka w święte prawo Europy do brutalnej ingerencji na wszystkich kontynentach świata oraz jej wyższość nad nimi. Kiedy natomiast oświecona i humanitarna, a jakże wpływała opinia angielska, francuska czy holenderska uznały, iż bliźni o czarnym kolorze skóry mają prawo do posiadania własnych państw, wpadli oni pod władzę własnych dyktatorów. Ci zaś nie musieli się już liczyć z jakąkolwiek opinią; „kolorowy totalitaryzm” likwidował rodaków z bezwzględnością, która słusznie oburzała dawne metropolie.

Lenin ukuł swego czasu efektowną formułę, iż władza radziecka to komunizm plus elektryfikacja. Parafrazując ją można powiedzieć, że wiek XX stał pod znakiem totalitaryzmu, sprzymierzonego ze środkami masowego przekazu. Nie jest rzeczą przypadku, że nie tylko twórca radzieckiego państwa, ale i inni dyktatorzy, z Hitlerem i Mussolinim na czele, przywiązywali takie znaczenie do roli prasy, filmu i radia. Notabene, wspominany już Lenin, mówiąc szeroko o różnorodnych zadaniach gazet, nie wspominał ani słowem, że mają one również informować czytelnika. Na czoło wysunął natomiast propagandowe, edukacyjne i nauczycielskie funkcje prasy.

Jedną z tragedii XX wieku było, iż dzięki mass-mediom poddano szerokie warstwy ludności wszechstronnej indoktrynacji ideologicznej. Znalazły się one w sytuacji brzydkiej, ubogiej i starej panny, której ktoś nareszcie obiecał szczęśliwe życie u boku młodego, bogatego i pięknego męża. Bolszewicy, a później włoscy faszyci czy hitlerowcy obiecywali wszystko, niewiele troszcząc się o to, jaką część swych haseł zdołają naprawdę zrealizować. Wystarczy przypomnieć, iż komuniści rosyjscy wystąpili pod hasłem natychmiastowego zakończenia wojny, a w rzeczywistości przedłużyli ją o dobrych kilka lat. Następnie zaś rządzący w warunkach faktycznie istniejącego stanu wojennego. Podział ziemi wśród chłopów zamieniono niebawem na ich przymusowe osadzenie w kołchozach, nieograniczoną wolność niemalże od początku w najsurowszy system represyjny.

Kiedy jednak masy zaczęły się w tym wszystkim stopniowo orientować, było już za późno. Umocnił się i okrzepł system terroru, korzystający z rozwoju techniki. Wiek XX stworzył sprzyjające warunki nie tylko do powielania płynących z góry nakazów i dyrektyw, ale również do kopiowania systemu terroru. Jakże zdziwiliby się mieszkańcy spokojnej prowincji rzymskiej, czytając dzieła antycznych (i współczesnych nam) historyków o okrucieństwach niektórych cesarów i terrorze przez nich wprowadzanym. Najgorsze „czystki”, jakie Neron, Kaligula czy Tyberiusz urządzali wśród rzymskich ekwitów, nie były powtarzane nawet w samej Italii, nie mówiąc już o innych częściach rozległego cesarstwa. Tymczasem każda fala stalinowskich represji doprowadzała do wymiany aparatu władzy na najniższym nawet szczeblu.

Pod rządami Lenina, a później Stalina, wyrosła silna warstwa partyjnej biurokracji, rozumiejącej, iż tak zwana demokracja ludowa jest papierowym hołdem, jaki totalitaryzm składał tradycjom minionego stulecia i własnym obietnicom przedwyborczym. Toteż dyktator z Kremla mógł spokojnie wydać najbardziej demokratyczną konstytucję (1936). Nie obawiał się bowiem, iż ktokolwiek weźmie ją na serio. Tymczasem Mikołaj II nie mógłby pozwolić sobie na podobne ryzyko, gdyż jego „tępi” urzędnicy gotowi byli podobny dokument potraktować na serio. A i opozycja mogłaby taką konstytucję wykorzystać, z którą to opozycją carat nie był w stanie skutecznie się uporać (jedna z bohaterek *Dzieci Arbatu* A. Rybakowa, mówi, że gdyby car dawał tak surowe wyroki, jak Stalin, to nadal rządziłby spokojnie Rosją).

Wiek XX stał więc pod znakiem jakościowego przełomu w sposobie traktowania poddanych (w szerokim słowa tego znaczeniu). Mieli się oni stać materiałem podatnym na obróbkę dokonywaną przez „inżynierów dusz ludzkich”, którymi kierował wszechwładny Demiurg z Kremla. Ale i ci „inżynierowie” nie mogli przecież być ludźmi wolnymi. W XIX stuleciu literat występujący przeciwko władzy nie tak wiele znowu ryzykował. I nikt nie pouczał historyków, jakimi tematami mają się zajmować i w jakim duchu je naświetlać. Tymczasem w epoce totalitaryzmu płaciło się głową nie tylko za krnąbrną książkę, ale też za milczenie. Rozumieli to dobrze najbardziej oporni, bo przecież i sam Bułhakow napisał w 1939 r. dramat o młodym Stalinie... Carom były raczej obojętne spory wokół postaci Iwana Groźnego czy Piotra Wielkiego, w Związku Radzieckim natomiast chwalcy walk prowadzonych na Kaukazie z Rosją przez Szamila (połowa XIX stulecia) tracili życie za widzenie w nim bohatera. Po pierwszym okresie apoteozy, na fali nacjonalizmu rosyjskiego zdecydowano, iż był na usługach aż dwóch imperializmów: angielskiego i tureckiego. Notabene skoro już o nacjonalizmie mowa, to wydaje się rzeczą znamienną, że skazując całe grupy działaczy za nacjonalizm ukraiński, białoruski, polski etc. nie odważano się — w imię przyzwoitości i równowagi — wytoczyć choćby jednego „wielkoroskim szowinistom” (ostatnim, który o nich pisał, był chyba Lenin).

W początkowym okresie rewolucji rosyjskiej wydawało się, iż dojdzie do jej trwałego sojuszu z awangardową sztuką oraz literaturą. Przemawiały za tym futurystyczne dekoracje Moskwy na 1 maja 1918 r., komisarzowanie Chagalla w Mińsku czy poparcie dla eksperymentu w poezji (inna sprawa, że Lenin zawsze wołał Puszkina od Majakowskiego). Dość rychło jednak się okazało, że małżeństwo podobnego typu musi się zakończyć rychłym rozwodem. Totalitaryzm jak ognia boi się w malarstwie i rzeźbie, muzyce i dramacie, powieści i poezji, treści niejasnych, pod które — o zgrozo! — każdy obywatel może podłożyć własne tęsknoty i komentarz. Stąd też w ZSRR i w III Rzeszy z równą zaciętością ścigano „zdegenerowaną sztukę” (czytaj: awangardową), niszcząc nie tylko jej dzieła, ale i twórców.

Niechęć do awangardy wiązała się również ze zmianą warty w gronie elity partyjnej. Na skutek stalinowskich czystek miejsce ludzi znających nieźle (choćby z pobytu na emigracji) kulturę zachodu i języki obce przychodzili rodzimi pólanalfabeci, domagający się realizmu zarówno w sztuce, jak literaturze. Przymiotnik „socjalistyczny” stawał się w tym układzie czymś mniej ważnym. Masowemu terrorowi, który był przez wiek XIX tak bardzo potępiany, towarzyszyło nawiązywanie do tego stulecia pod względem formy. Ornamentyka banknotów i uniformy wojskowe (z epoletami włącznie), mundurki uczennic oraz wysłane pluszami wnętrza co lepszych hoteli, niewolnicze naśladowanie w teatrze Stanisławskiego — wszystko to stanowiło kontynuację gustów i przyzwyczajzeń carskiej Rosji. Elita partyjna postępowała dość często jak dozorca, który, zagrabiwszy kamienicę, urządza swe nowe mieszkanie na wzór oglądany u jej dawnego gospodarza. Nie rozumiano (nie chciano rozumieć), że pewne wynalazki przyczyniły się do zakwestionowania sensu do tej pory uprawianej sztuki; m.in. fotografia artystyczna uniemożliwiła artyście ograniczanie się wyłącznie do realistycznego ukazywania ludzi i ich otoczenia (podobnie jak rozwój sztuki telewizyjnej, ze zbliżeniami, musiał w jakimś stopniu wpłynąć na zmianę stylu gry aktorskiej).

Również miniony wiek nie był bez winy, jeśli idzie o ideologie, które tak zatruiły nasze stulecie. Bo przecież rasizm, marksizm i nacjonalizm, a więc doktryny, które ukształtowały się właśnie w XIX stuleciu, mają na sumieniu masową eksterminację ludzi żyjących w latach 1914–1989. W ZSRR zrealizowano oszalałą czarną utopię wypracowaną w spokojnych gabinetach ludzi, wiodących, jak Engels czy Marks, żywot poczciwych mieszczuchów i podzielających wiele ich gustów. Nie darmo na jednej z rozpowszechnianych dziś karykatur autorowi *Kapitału* włożono w usta zażenowane usprawiedliwienie: „towarzysze, ja tylko sobie tak fantazjowałem”.

Totalitaryzm różnych kolorów stał pod znakiem dyktatu ideologii: zuniformizowanej, docierającej wszędzie i obowiązującej wszystkich. Jej ostatnią próbą obrony był chyba — jeśli idzie o Polskę — rok 1956. Młodzi ludzie nie mogą dziś zrozumieć, dlaczego zespół „Prostu”, po likwidacji tego pisma w lecie następnego roku, nie zaczął go wydawać nielegalnie. Na przeszkodzie temu stanął nie tylko słaby jeszcze wówczas rozwój środków technicznych, ale i zachowanie przynajmniej resztek wiary w marksizm. Nie mieli go już nawet obrońcy dawnego ładu w latach 1968, 1970, a tym bardziej w roku 1980. Prosperity pierwszego okresu Gierka brało się, jak wiadomo, z pożyczek pieniężnych, ale już moczarowcy nie starali się o reanimację marksizmu, lecz sięgnęli do „pożyczki ideologicznej”. Nie oni przecież wymyślili antysemityzm, podobnie jak nie Edward Gierek był twórcą ideologii endeckiej, do której tak chętnie i często wówczas nawiązywano. Na marginesie: istnieje legenda Piłsudskiego, utkana z efektownych powiedzeń i sytuacji, brak natomiast legendy „pana Romana”, choć on właśnie, a nie panicz z Zułowa, określa ideologię współczesnej prawicy.

Jeśli w wydarzeniach lat 1989 i następnych nie będziemy widzieć makiawelskiej intrygi KGB, to i tak rychła i łatwa kapitulacja komunistów pozostanie nadal mimo wszystko zagadką. Jako historyk ruchów religijnych jedną z przyczyn upatrywałbym w fakcie, że oto po raz pierwszy chyba w dziejach ludzkości właśnie w „Kościele” marksistowskim zabrakło w ogóle ludzi wierzących. Wiek XVI zna biskupów czy kanoników, których pomawiano nawet o ateizm; masy pozostały jednak wierne chrześcijaństwu (i stąd m.in. wynikały sukcesy reformacji). Tymczasem w naszym stuleciu po pewnym czasie w słusznosci marksistowskiej drogi do szczęścia zwątpiły zarówno miliony owych „szarych, prostych ludzi”, jak i inżynierowie dusz ludzkich, którzy mieli czuć nad ich mechanizmami, i wreszcie arcykapłani, siedzący na szczytach.

Inną z przyczyn może być szybki rozwój środków masowego przekazu; w pewnym momencie kontrola nad nimi okazała się w praktyce niemożliwa. Nie do opanowania była sieć tajnych drukarni, tłoczących zarówno książki, jak i czasopisma, wideokasety umożliwiały oglądanie w domowym zaciszu filmów, surowo zakazanych przez cenzurę. Zagłuszanie obcych radiostacji, tak skądinąd kosztowne, okazało się na dłuższą metę nieskuteczne. To samo da się powiedzieć o manipulacji oficjalnym przekazem radiowym czy telewizyjnym; posunięta za daleko czyniła go nieskutecznym. W tym samym czasie, kiedy prasa i radio, a przede wszystkim telewizja, prowadziły kampanię antykościelną, autorytet tej instytucji rósł pod niebiosa (spada on gwałtownie po r. 1989, choć Kościół uzyskał nieograniczony dostęp do środków masowego przekazu, ale to już zupełnie inna historia).

Można więc powiedzieć, iż przeciwko totalitaryzmowi obróciły się właśnie mass-media, o których rozwój tak bardzo przez całe lata zabiegał. Notabene, cokolwiek by się dziś o nich złego mówiło, trudno zaprzeczyć, że właśnie szklany ekran utrudnia w jakimś stopniu eksterminację przeciwnika. Ilu ludzi w Europie doby I wojny światowej wiedziało o zagładzie Ormian przez Turków, a ilu widzów dzisiaj przejmują się losem narodów bylej Jugosławii czy tragedią Czechenów (co wcale nie znaczy, że ONZ przychodzi im ze skuteczną pomocą).

Na zakończenie chciałbym się podzielić pewną smutną refleksją. Uniknęliśmy mimo wszystko w XX wieku zagłady nuklearnej, problemem pozostaje wszakże sprawa składowania odpadów radioaktywnych. Podobnie jest z totalitaryzmem: choć w wielu państwach przestał istnieć jako forma rządów (co nie znaczy, aby całkowicie przeszedł do lamusa dziejów), to jednak „odpady posttotalitarne” zalegają w wielu umysłach i duszach ludzkich. Czy trzeba wymieniać palcem partie, a po nazwisku ich przywódców, którym nadal przyświeca ów gierkowski ideał „moralno-politycznej jedności narodu polskiego”? Przy czym tylko oni mieliby rozstrzygać, kto się z owej jedności wyłamuje. Jakże wiele z dawnych marzeń o monopolizacji władzy i doktryny usiłuje zrealizować Kościół katolicki w Polsce!

Jeszcze bardziej żywotna okazuje się pokusa wprowadzenia w życie, i to za pomocą „środków bogatych”, pewnej jednolitej, zuniformowanej ideologii. Niektórym przywódcom i ideologom trudno zrozumieć, iż nie wszystkie dziedziny życia ludzkiego mogą być objęte kontrolą Kościoła. Żaden, najsprawniej nawet działający sąd nie jest bowiem w stanie zastąpić konfesjonału, a paragraf kodeksu rozstrzygnąć wątpliwości sumienia.

Przyjęcie roku 1989 za cenzurę końcową XX wieku pozwoliłoby na ustalenie periodyzacji uznanej za swoją na wszystkich kontynentach. Nie stanowią jej daty I i II wojny światowej, skoro na przykład po dziś dzień w świadomości historycznej obywateli USA o wiele mocniej są osadzone (m.in. dzięki filmowi i literaturze) lata wojny domowej oraz „wielkiego kryzysu”. Natomiast totalitaryzm, a on to — niestety — wyróżnia XX stulecie od poprzednich (miejmy nadzieję, że i następnych) epok ludzkości, dotarł na wszystkie kontynenty świata. I to tak dalece, że choć zaczął się w Rosji, wiele przemawia za tym, że najdłużej przetrwa w Ameryce (Kuba) oraz w Azji (Chiny). Jeśli zaś zakreśliśmy na kuli ziemskiej tereny, do których dotarły ideologie tworzone przez dwóch przedstawicieli tego samego narodu (mam tu na myśli chrześcijaństwo oraz marksizm), to zaiste niewiele pozostanie białych plam...